Korony królów — skinnywords

Od autora: Opowiadanie z mojego bloga literackiego skinnywords.pl

- Przestań naciskać ten pieprzony domofon – Swaróg rozejrzał się niespokojnie po ulicy. Nikt się nie pojawił. To było nieco dziwne, ze względu na porę dnia i fakt, że był Wielki Piątek, czas kiedy ludzie dostają kompletnego świra, usiłując przenieść do domów całą zawartość supermarketu.
- To mi się wydaje zabawne, więc nie przestanę – Komancz dusił zajadle przycisk, a urządzenie wyło jak opętane.
- Zaraz będziemy mieli na głowie jakiś patrol – wymownie spojrzał na Dzika ciężko opartego o cudzy samochód. Był tak pijany, że zjeżdżał plecami po karoserii w dół, nogi mu się uginały i nawet ratowanie się rękami niewiele pomagało. Tym bardziej, że auto było niemiłosiernie wypucowane i nawoskowane. Na obcej rejestracji, widocznie ktoś przyjechał na święta. Facet zjeżdżał jak na ślizgawce. Nawet nie śmierdział specjalnie wódą. W uszytej z grubej czarnej skóry ramonesce, gładkiej, intensywnie niebieskiej koszuli, jasnych wycieranych dżinsach i wojskowych butach, wyglądał świetnie. Blond włosy zawadiacko przycięte na górze i wygolone na bokach podkreślały profil jego prostokątnej twarzy.
- Co my z nim zrobimy? – spytał Swaróg.
- Jak wyjdzie w tym kaszkiecie, to mu go osobiście wsadzę do tyłka – Komancz miał na myśli Brodę, którego usiłował wywabić z domu.
- Na pewno w nim wyjdzie i jeszcze w tym beżowym prochowcu.
- Słucham – odezwał się w końcu głos w domofonie.
- To ja słucham – przedrzeźniał go Komancz – dlaczego ciebie jeszcze tu nie ma?
- Jeszcze pięć minut. Przestań dzwonić. Muszę pomóc Magdzie w kuchni.
- Tak, tak bez ciebie się nie obędzie – irytowało to jego kompanów.
- Miałeś go odebrać z Głównego. Gdzie on się tak narąbał? – Komancz spytał Swaroga.
- Nie wiem. Tak go znalazłem na dworcu. Nawet komórki nie odbierał.
- „Korony królów na naszych głowach..” – bełkotał coś pod nosem Dziku.
- Nie słuchaj go, on tak w kółko nadaje. Wystraszył ludzi w tramwaju. Niezłą z nim miałem przeprawę.
- Nigdzie nas z nim nie wpuszczą.
- Schodzi czy nie? – Swaróg spojrzał w górę, jakby oczekiwał, że wyleci przez okno. Przy Magdzie to było wielce prawdopodobne. „W hierarchii domowej przepycha się pewnie z psem o atencję” – przyszło mu do głowy. „Tak ją nauczył, to tak ma”.
- Dziku, halo, Dziku. Chrystus zmartwychwstał! Ty też możesz! – nabijał się Komancz. Był chudym, wysoki, łysym gościem. Podobnie jak pijany przyjaciel, był w skórzanej kurtce, tyle że o sportowym kroju. Pod skórą miał założony fantazyjny jasnoniebieski t-shirt z fioletową płócienną naszywką w kształcie litery V. Podszedł do Dzika i w geście wsparcia położył mu rękę na ramieniu.
- To chyba jutro, albo nawet w niedzielę – skorygował Swaróg. Zamroczony nie reagował, parzył tępo w ziemię i powtarzał tylko „korony królów”.
- Coś mu się nie zgadza najwyraźniej – żartował Komancz – zapomniał chyba resztę.
- Musimy z nim pójść coś zjeść i na kawę, inaczej nic nie zdziałamy.
- Weźmiemy go do tego Starbucksa na Piłsudskiego, poszczujemy nim nerdów.
- Nie wywalą nas?
- Nie widziałem na tej knajpie napisu „nietrzeźwych nie obsługujemy” – śmiał się.

Broda w końcu wyszedł, oczywiście w kaszkiecie. Zlitował się jednak i prochowiec zastąpił czerwoną wiatrówką. Komancz pomyślał, że chyba się nie zrozumieli. Ta kurteczka była dobra na krótkie balety, a

nie zapowiadającą się nocną eskapadę. „Na pewno w niej zmarznie, albo będzie już miał taką banię, że nie będzie czuł chłodu". Pomyślał też, że pewnie Brodzki przeżywa katusze. Magda wypuściła go z domu, żeby się pobawił z kolegami, ale nie narozrabiał. Ciekawiło go tylko, ile czasu upłynie zanim pierwszy raz do niego zadzwoni. Wyciągnął z pamięci ostatnie spotkanie sprzed roku, jak Broda nerwowo i z namaszczeniem tłumaczył się do słuchawki, kiedy postanowili balować dłużej niż żona zakładała.
- Co? – Brodzki trochę niepewnie spytał obserwującego go Komancza.
- Podoba mi się kaszkiet – zarechotał – płaszcz gdzie masz? W pralni?
- O co ci chodzi? – zdziwił się.
- Co z nim robimy? – Komancz wskazał głową Dzika.
- A temu co? Ha, ha, ha – Broda zaczął się śmiać, kiedy zorientował się w sytuacji – o on gdzie się tak załatwił?
- Na dworcu, nie wiem zresztą. Trzeba go jakoś doprowadzić do porządku.
- Korony królów – zaczął Dziku.
- Zlituj się Paweł! – powiedział do niego Swaróg.
- Ty jesteś tutejszy, więc coś wymyśl – zwrócił się do Brody, który miał szczerą ochotę zwiać do chaty. Zapowiadało się na problematyczny wieczór.
- Przecież on to musi odespać! Ja ty to sobie wyobrażasz? – obruszył się.
- Weź nie pierdol, nie zostawię go na dworcu, bo albo go gliny zwiną, albo go ktoś okradnie. Twojej Magdzie też go nie wcisnę, bo jak ci obrzyga mieszkanie, to nie będziesz miał dokąd wracać, a nie zamierzam rozwalić ci małżeństwa. Jeszcze jej powie coś w przypływie szczerości o tej małej blondynce z ubiegłego roku i będziesz miał problem.
Brodzkiego zamurowało. Komancz powiedział głośno coś, co było tabu, czego cholernie się wstydził i próbował zapomnieć, przez co jadł Magdzie z ręki, pokutował.

- To chyba jakieś jaja są – niedowierzał Swaróg. Starbucks był zamknięty. Stali na skrzyżowaniu z Świdnicką. - W piątek o 18-stej. Co oni ramadan zaczynają?
- Raczej szabas – podpowiedział Komancz – pewnie znaleźli w środku zdechłego hipstera i mają teraz deratyzację.
- Ty akurat nie powinieneś się nabijać z wyznań i subkultur – poinstruował go Broda.
- Dlaczego? To, że jest gejem właśnie mnie o tego wyjątkowo uprawnia. Nie ma nic śmieszniejszego niż gej-Żyd.
- Cyklista – w międzyczasie puszczony wolno Dziku najpierw przytulił się o figury pani z wózkiem, potem dołączył do pozostałych figur i chwiejąc się na boki, czekał na zmianę świateł na przejściu dla pieszych wraz z innymi postaciami z rzeźby. Zdążył jeszcze poklepać po kapeluszu metalowego gościa, którego tors wystawał nad chodnik. Kapelusznik był jednak trochę za niski, a u gięcie przez Pawła kolan skończyło się ekwilibrystycznym pokazem walki z grawitacją. Żywa publika miała niezły ubaw.
- W NOT-cie jest restauracja – wpadł na pomysł Swaróg – tam przynajmniej zjemy obiad. Nie chce mi się z nim nigdzie dalej łazić.
Jakoś doczłapali się o tego budynku, nie było daleko, a Dzik nie stawiał oporu.

Wnętrze dawnego pruskiego urzędu niezmiennie przygnębiało, lata świetności dawno minęły i tandetne dodatki w rodzaju automatu do napojów i reklamy salonu stomatologicznego, odbierały temu miejscu powagę.
Knajpa była po prawej stronie, robiła równie nędzne wrażenie co cała reszta, z obrzydliwą boazerią pomalowaną czarną farbą i czerwonymi ścianami mogła być niemieckim przedwojennym burdelem.
Na szczęście to miejsce miało jedną niepodważalną zaletę – duch komuny, PRL-u był tu żywy. Nie było

entuzjazmu kelnera, ale za to można było liczyć na wyrozumiałość dla dżentelmenów z pijanym kompanem. Ta stara, prawie zabytkowa knajpa widziała niejednego uchlanego i póki ten nie awanturował się, nie ściągał zasłon, nie usiłował tańczyć na stole, to mógł nawet leżeć głową w sałatce i nikomu nie przyszłoby do głowy wyprosić go stąd. Chwalebna historia upadku obyczajowego ludzkiego rodzaju, której były pełne te mury, zobowiązywała.

Dzikowi świeże powietrze dobrze zrobiło, bo nabrał kolorów i spał w najlepsze na krześle ze swobodnie opuszczonymi rękami. Młoda kelnerka przyjęła od nich zamówienie i tylko się uśmiechała, spoglądając na Pawła.

- Pani się nie martwi, będziemy grzeczni. Wypadek losowy, kolega się zatruł – dziewczyna śmiała się i kręciła głową.

- Nic nie rozumiem – zaczął Broda – co mu się stało?

- Kiedy on z tej Holandii przyjechał? – Swarogowi przypomniało się, że nie zamówili nic do picia. Poszedł do baru, nie czekając na odpowiedź. Wrócił, a po chwili kelnerka przyniosła kufle z piwem.

- Do mnie pisał, że będzie w środę – Komancz wypił pierwszy łyk.

- W czwartek się nie odezwał, więc to znaczy jedno. Pojechał do niej – Swaróg wziął swój pokal.

- Do kogo? Nie jestem na bieżąco.

- X5 z Wrocławia.

Komancz załapał od razu, Broda nie bardzo.

- Nasz ukochany, naiwny boa dupczyciel – Komancz powiedział to wielką troskliwością. Ciągle zadziwiało go, że Paweł, będący solo od kilku lat, nadal łapie się w takie pułapki. Miał powodzenie, przerób był naprawdę duży, większy był może tylko entuzjazm z jakim dzielił się podbojami. Prawie już mieszkał z tuzinem kobiet, prawie żył ich życiem, nieodmiennie chciały mu przychylić nieba. Teraz było BMW X5, wcześniej gospodarstwo agroturystyczne. Już czuł się częścią rodziny. Niewiele brakowało, żeby zdejmował skarpety w salonie i rzucał do dziewczyny: „przynieś mi piwo", a potem lądował na nim kubeł zimnej wody i zaczynał od nowa. Walczył z niegasnącą siłą, żołnierz niezłomnym, moczył jaja w kostkach lodu i ratował reputację męskiego rodu. Jego ciepło i dobroć były ujmujące, a kobiety za nim szalały. Problem w tym, że na tym rynku jest duża podaż i choć łatwo było coś kupić, to równie łatwo było się tego pozbyć. „Stabilizacja" to nie było słowo, które pojawiało się w opisach na portalach randkowych. Łatwiej było sprzedać ściemę, pozując z gitarą, w motocyklowej kurtce, stojąc około stalowej dwukołowej bestii lub z sympatycznym zwierzakiem. Nawet zdjęcia sportowe były dobre: na desce z żaglem, rowerze, po przebiegnięciu morderczych dwustu metrów. Byle w dobrych firmowych ciuchach i z wciągniętym brzuchem.

Inteligent nerd, spokojny pragmatyk byli bez szans w starciu z emanującym adrenaliną troglodytą. Jeżeli złapać by go w sieć, wrzucić do wehikułu czasu, a potem ogolić, ufryzować i zrobić mu dobrą sesję zdjęciową, to miałby większe branie niż faceci po Harvardzie.

Na jedną noc intelekt był zbędny, ale za to brutalny, dorodny samiec, ostentacyjnie dłubiący po wszystkim w nosie, rozchylał kobiece uda i rozpalał wyobraźnię.

- Myślisz, że był u niej? – bardziej stwierdził niż spytał Swaróg. Znali się już tyle lat, zanim jeszcze dorobili się etno-ksywek, pozostałości po czasach, kiedy fascynowali się kulturami dumnych ludów Ameryki Północnej, a potem Słowianami.

- Więcej niż pewne. Nie nachlał się przecież z nudów.

- A tak dobrze o niej mówił – kelnerka w międzyczasie przyniosła olbrzymie schabowe z dużą porcją ziemniaków i odrobiną sałatki. Klasyczny polski obiad, uwielbiany przez producentów tabletek na zgagę.

Obudzili Dzika i jedli. Nie grymasił specjalnie, widocznie nie wpadł wcześniej na to, żeby oprócz wódki wrzucić coś do żołądka. Pochłaniali w milczeniu, popijając piwo. Paweł wytrzeźwiał na tyle, że na moment zawiesił nawet oko na kuflu.

- O nie, nie, nie, Obeliksie! Ty w dzieciństwie wpadłeś do kotła z magicznym eliksirem – powtrzymał go

Komancz.
Posiłek był naprawdę spory, nie byli w stanie zjeść go w całości. Siedzieli chwilę, sapiąc z przejedzenia. Paweł patrzył przed siebie pustym spojrzeniem:

„Korony królów na naszych głowach,
Ale nic, z czego możemy być dumni,
To tylko puste hale lodowych pałaców,
Wypełnione rzeczami, który nie potrzebujemy.
Ślady życia i radości zamarzłe eterycznie w przeszłości
Cali my – pokraczne posągi na postumentach marzeń".

Zaskoczył ich tą kwestią. Mówił, jakby wcześniej nie pił. Wyrzucił te słowa z siebie z taką siłą, że musiał w nie głęboko wierzyć. Nie wiedzieli, skąd mu się to wzięło i z czego pochodzą, ale sprawił, że u każdego z nich uruchomiła się wyobraźnia. Od dziewczyny, która wystawiała ich przyjaciela, powędrowali w głąb siebie. To była chwila zadumy.
- Ha, ha, ha. O rany, ale odjechaliśmy przez niego. Zupełnie jakbyśmy już się urżnęli.
- No, coś w tym jest, co powiedział – kwaśno stwierdził Swaróg.
- Nie dała mu i marudzi.
Paweł milczał, ale posłał Komanczowi ostrzegawcze, wrogie spojrzenie. Ten zrozumiał, że wydarzyło się coś ekstra, nie zwykłe rozstanie, zdawkowe „nie dzwoń więcej". To było coś poważnego, może nawet nieproporcjonalnie nieracjonalnego dla tak nic nieznaczącej znajomości.
- Dochodzi ósma, jak mamy dziś znaleźć jakieś wolne miejsce w pubie, to najwyższy czas się zwijać – Broda spoglądał na wyświetlacz telefonu. „Cud, że ta suka jeszcze nie dzwoniła" pomyślał Komancz o Magdzie.

Dzika dało się już normalnie prowadzić. Nie miał siły jeszcze mówić, ale nie zataczał się, nie włączał mu się automat, nie wchodził na ściany. Wracała mu chyba przytomność. Poszli Świdnicką do Rynku, przez przejście podziemne. Zahaczyli o dwie knajpy, ale okupowały je chmary ludzi. Wielki Piątek był idealnym czasem, żeby w zadumie pogrążyć się na kuflem w przededniu największego katolickiego święta. Czas refleksji i towarzyskich plotek przy alkoholu. Studencki Wrocław wyjechał do domu święcić jajka i odbudować tkankę tłuszczową. W restauracjach dominowała licealna młodzież i ludzie w średnim wieku. Poczuli się jak u siebie w domu.

Miejsce znaleźli w końcu w trzecim pubie. Było gwarno, tłoczno, ale klimatycznie. Przeszkadzały im trochę stoliki porozstawiane na zewnątrz, bo kelnerzy ciągle do nich wychodzili i robiło się zamieszanie. Przestali zwracać na nie uwagę po trzecim piwie. Zbliżała się dwudziesta pierwsza i zapadł zmrok. Dopiero teraz Rynek pokazał swą prawdziwą urodę. Fasady promieniały oświetlane reflektorami, wilgotny bruk odbijał światło. Panowała atmosfera festynu, szczególnie, że jakiś zachodni front przywiał nad miasto wyjątkowo ciepłe powietrze.

Postawili przed Dzikiem piwo, żeby mógł się za nim schować. Wypił nawet łyk, ale wciąż nie wydobrzał.
Kiedy jego telefon zadzwonił, Komancz wyjął mu go z kurtki, na wyświetlaczu pokazał się napis „Luiza WR".
- Halo, Paweł? – spytał damski głos.
- Nie, Paweł nie może rozmawiać – Komancz już domyślił się, kto dzwoni. Kolejna psychofanka, najpierw go wystawiła, a teraz będzie mu ryć w mózgu – zajęty jest.
- Paweł, to ty? – dociekała.
- Zalał się, rozumiesz? – nie miał ochoty z nią gadać – Coś jeszcze?
- Paweł, to naprawdę nie ty?

- Nie, to ja, tylko głos mi się zmienił – „idiotka" pomyślał – kolega – wyjaśnił w końcu.
- Coś się stało?
- Mówię przecież, zalał się. Zrobiłaś go w wała, to się zalał. Jasne. Chcesz coś jeszcze czy kończymy? – był dla niej celowo niemiły.
- Gdzie jesteście? – „jak Boga kocham, psychofanka. Ma facet rękę do kobiet" – na grzybach.
- Możesz nie być taki nieuprzejmy, chciałam z Pawłem porozmawiać.
- A ja chciałem, raz do roku, się spotkać z przyjacielem i napić, ale jedna dupa tak go po chamsku załatwiła, że urżnął się i nie mam z niego pożytku. Pytam jeszcze raz: coś ważnego? Czy kończymy? – panienkę z drugiej strony chyba zamurowało, bo nie rozłączyła się, ale milczała. Komancz popatrzył na Dzika, powoli, z trudem odzyskiwał świadomość. Nie nadawał się jeszcze do gadania, ale było już lepiej. Wóda go chyba straszne zmęczyła, bo teraz faktycznie wydawał się trzeźwiejszy, ale senny. Na pewno nie mógł powiedzieć jej nic sensownego i nie miał wystarczającej siły, żeby obronić się przed nią. Komancz nie chciał, żeby wciągnęła Pawła w tę grę i postanowił nie ułatwiać jej życia.
- Gdzie jesteście? – spytała w końcu, a on postanowił podjąć rękawicę.
- W Rynku, siedzimy w pubie naprzeciwko Empiku.
Rozłączył się i z diabelskim uśmiechem popatrzył na chłopaków.
- Coś ty zrobił – wystraszył się Broda – przyjedzie tu?
- Czekaj, czekaj. To dopiero przygrywka – Komancz wsunął telefon Dzikowi do kurtki.
- Spieprzamy stąd!
- Wracaj do domu jak chcesz, ale ja zamierzam to zobaczyć – wtrącił się Swaróg.
- Będzie miała niezły ból dupy.
- Spokojnie, załatwimy mu wieczorne bzykanie na zgodę, a jutro on ją wystawi – cynicznie stwierdził Komancz.
- W co ty go pakujesz?
- W nic, w co już się sam nie wpakował, ale tym razem to on będzie rozdawał karty. Zobaczysz.
Broda nie wiedział, jak się ma zachować. Nigdy nie miał takiej śmiałości do kobiet, a teraz miała tu przyjechać laska, której zachowania nie sposób było przewidzieć. Wystraszył się awantury i obciachu.
- Paweł może spać u mnie – rozpaczliwie próbował ratować sytuację.
Komancz spojrzał na niego tak wymownie, że aż tamten zbladł. Miał ochotę powiedzieć mu coś o pantoflarstwie i włażeniu pod łóżko, ale go oszczędził. Za bardzo go lubił, a on się za bardzo przejmował. Jeszcze mu zależało, nie przekroczył tego progu, co pozostali przyjaciele.

Dochodziła dziesiąta wieczorem, kiedy w końcu przyszła. Nie zauważyli jej początkowo w tłumie ludzi w lokalu. Musiała ich trochę szukać. W życiu nie wpadłby na to, że to ona. Podeszła do stolika, bo zobaczyła Pawła. W pierwszej chwili pomyśleli, że jakaś hipisująca laska przepycha się między stolikami do toalet. Zdecydowanie za długo stała jednak przy ich stoliku. Czekała chyba, aż Dziku ją dostrzeże i zareaguje. Komancz w milczeniu taksował ją wzrokiem.

Zapierała dech w piersiach. Od razu zrozumiał Pawła, jego rozpacz i pomyślał o niej, że to na pewno inteligentna kobieta. Jeszcze nie zdążyła otworzyć ust, a już zmieniło się jego nastawienie do niej. „No tak, myślę, nie tą głową co trzeba. O kuriozum!". Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Dziewczyna była wysoka, miała długie popielate włosy, sięgające prawie do łokci. Błyszczały i były gęste, kiedy szła do nich w zamszowych butach na koturnie widać było niesamowitą gracje w ruchach, działała nawet na niego. Włosy okalały szczupłą, pogodną twarz. „Kwintesencja kobiecości" – pomyślał. Spodziewał się, że to będzie korposzczurzyca w kostiumie albo spodniumie, wyperfumowana i upudrowana. Przyszła kobieta w dżinsach, hippisowskiej kolorowej kwiecistej bluzce i bordowej, krótkiej skórzanej kurtce. Widać

było, że twarz nieco błyszczy, więc raczej była bez makijażu lub miała bardzo delikatny. Można się był w niej zadurzyć, bez wątpienia.
- Luiza – podała każdemu z nich rękę i przedstawili się sobie. Pawła pocałowała w policzek. Podniósł na nią wzrok i tak popatrzył, że ewidentnie się zmieszała. Mimo tego, zachowywała się jakby nic się nie stało między nimi. Komancz znowu przestał ją lubić. „Pieprzona hipokrytka, kolejna manipulatorka. To chyba nie był dobry pomysł, żeby ją tu ściągać". Zastanawiał się, jak można być tak podłym wobec drugiego człowieka. Jej się wydaje, że to zabawa, a Dziku obrywa tęgie baty. Nigdy wcześniej nie spotkał żadnej z jego dziewczyn, ale jeśli tak wyglądały związki w jego wykonaniu, to psychicznie był już wrakiem człowieka. Wydrążoną, wypaloną skorupą. „Straszne" – pomyślał. Intrygowało go tylko, czy ona robi to celowo, a może jest taką emocjonalną analfabetką, że do niej to nie dociera? Mógł to teraz rozegrać na kilka sposobów, ale w żadnym nie widział większej szansy na ocalenia Pawła. To był potwór, który miał go pożreć. Bawił się nim, poszturchiwał. Przed jej aurą nie było ucieczki, aż przez chwilę pożałował, że jest gejem.
- Możesz mi powiedzieć, co to było? – zapytał, kiedy odciągnął ją na bok – czemu on tak się uchlał?
- Był ktoś u mnie – zawstydzona opuściła głowę, coś jednak do niej dotarło. Komancz zastanawiał się czy ma prawić jej moralitety.
- Reguły gry – nie zrozumiała i dziwnie się na niego patrzyła – złamał reguły gry. To jego wina – nie spodziewała się takiej reakcji.
- Nie o to chodzi… - zaczęła, ale jej przerwał.
- W tym kraju cwaniactwo jest nieśmiertelne. Pchają się do kolejki, na siedzenie w tramwaju. Podrzucą ci robotę i obrażą się, jak nie chcesz jej przyjąć. Ty robisz to samo, tyle że na innym polu.
- Co masz na myśli? – nie pałała do niego sympatią.
- Wydaje ci się, że jesteś cwana, bo manipulujesz tymi idiotami, ale to też są ludzie. Nie możesz inaczej?
- Czyli jak? – wkurzyła się.
- Normalnie? Przestać. Jemu coś brakuje? Czy co? – wskazał głową Pawła – Ja go znam i to jest dobry gość. Za dobry dla ciebie. Myślisz, że straci na wartości? Zepsuje się?
Wzbudzał w niej poczucie winy i robił to celowo. Miał nadzieję, że w rezultacie, kiedy zabierze Dzika do siebie, to zrobi mu tak dobrze, że aż dostanie zapaści.
- Potrzebny był ci ten drugi? – przyszpilał ją, chciał naprawdę zdołować, napędzić moralniaka – co ty, stachanowiec jesteś? Musisz ciągnąć na dwie zamiany?
- Sorry – wydusiła zaskoczona.
- Mnie nie musisz przepraszać, ale ciekaw jestem, jak wytłumaczysz to jemu, kiedy już będzie się do tego nadawał.
Urządził jej taką emocjonalną huśtawkę, że zgłupiała. Oczekiwała, chyba że to będzie prosta sprawa. Przyjdzie i wyciągnie Pawła. Tak była nauczona, strategia działała bez zarzutu, kładła na facecie rękę, a ten się topił pod dotykiem. Tyle tylko, że ten tu miał straż przyboczną, która bezceremonialnie ją objeżdżała.
- A ty co – przeszła do kontrataku – inny jesteś? Nie słyszałam, żeby Paweł mówił, że masz rodzinę, a trochę się o was nasłuchałam.
- Ja jestem prostym wiejskim gejem, ermitą na zadupiu, więc nie licz na zbyt wiele – zręcznie odbił piłkę.
- A co to geje nie mają rodziny? – napierała.
- Chyba za dużo oglądasz „Modern Family". Moi kochankowie byli równie cyniczni i wyrachowani ja ty – przyłożył jej centralnie między oczy, aż nie mogła złapać powietrza.
- Jakieś kompleksy? – a jednak była inteligentna, zaatakowała poniżej pasa.
- Nie, to tylko fakt. Świadectwo tego, że stworzenia takie jak ty opanowały świat. Ewolucyjnie jesteście nawet wyżej niż karaluchy, przetrwacie zagładę atomową – to była wirtuozeria złośliwości z jego strony. Sama się o to prosiła.

- Korony królów na naszych głowach – wydeklamował głośnio Dziku na cały lokal.
Usłyszała to i była jeszcze bardziej zaskoczona. On dociągnął wiersz do końca, a potem ożył i wypił jednym haustem pół piwa.
- W zasadzie to masz rację, puste pałace – pierwszy raz tego wieczoru Swaróg zwrócił się wprost do Pawła, jakby ten nagle zyskał osobowość. Kontakt został nawiązany.
- Ja mam rodzinę – bronił się niepytany Brodzki.
- Jesteś psem pasterskim na smyczy tej suki – Komancz siadł teraz na nim.
- Nie mów tak o niej, zresztą to nie twoja sprawa.
- Moja, kurwa, bo jesteś moim najbliższym przyjacielem. Wszyscy jesteście – popatrzył na nich.
- Jutro święta, odpuść proszę – powiedziała nagle Luiza.
- Nie wtrącaj się, posłuchaj sobie jak wygląda rozmowa. My tu nie udajemy. Żadnych gładkich słówek.
- Właśnie widzę. Zabieram go – podeszła do Pawła.
- Robi z tobą co chce. Po coś się wpierdolił w tę sprawę z oazą? Znalazłeś sobie substytut znajomych? Urobiła cię. Ciebie? Racjonalnego sceptyka? – Komancza irytowało, że w ciągu roku jest przyjaciel stał się nagle nadzwyczaj religijny.
- Zamknij się w końcu – Broda naprawdę się zdenerwował – wkurzasz mnie na serio.
- Co to pokuta, za tę blondynkę sprzed roku? – dociskał go Komancz – przecież Magda, kurwa, nic nie wie. Nie dotarło to do ciebie? Sam się chłoszczesz. Myślisz, że bez powodu z nią wtedy poszedłeś? Ktoś w końcu odezwał się do ciebie jak do normalnego mężczyzny, zdjął ci to cholerne chomąto.
- Miałeś się, kurwa, zamknąć – Brodzki złapał Komancza jedną ręką za kurtkę i przyciągnął go do siebie. Barman porozumiewawczo, wzrokiem wskazał obu kelnerom.
- Proszę się nie niepokoić, to tylko sprawy rodzinne – Komancz się nie opierał, poddał się sile Brody, ale jednocześnie lekceważąco odwrócił głowę w stronę barmana.
- Panowie! - ostrzegawczo rzucił facet za barem.
- A ty, co masz? No pytam, co? Jesteś sam jak palec! Siedzisz na tym swoim zadupiu i pilnujesz stawów. Znalazł się zbawiciel świata. Nie wpierdalaj się do mojego życia, nie prosiłem cię o to!
- Widzisz? Dostrzegasz różnicę? – Komancz zwrócił się do Luizy. Stała cała nastroszona. Nie wiedziała jak na zareagować, to było chamskie, ale szczere. Nie wiedziała, czy mówi prawdę, ale sądząc po reakcji Brodzkiego, nie kłamał. Domyśliła się, co nabroił.
- A ty? Dostrzegasz? – spojrzał na Brodę.
- Co?
- Korona ci się przekrzywiła.
- Bu, ha, ha, ha –Dzik był już zupełnie przytomny. Parzył jak jego przyjaciele stoją naprzeciw siebie i zajadle kłócą.
- A on co? – wtrącił Swaróg.
- Wy tak zawsze? – Luiza odzyskała głos, animuszu dodało jej to, że Paweł wyraźnie ma się lepiej – przecież jesteście przyjaciółmi!
- Nie pomyliła ci się męska przyjaźń z damską? – Komancz strofował ją lodowatym głosem – mam go poklepywać po plecach, że babrze się w gównie? Zobacz co zrobiłaś z Pawłem. Po co tu przyszłaś? Chcesz usłyszeć trochę prawdy, czy tego pudrowanego syfu. Wydaje mi się, że ci teraz zależy? Inaczej by cię tu nie było.
Zbił ją całkowicie z tropu, aż się nagle skurczyła i przygarbiła. Popatrzyła na Dzika i dotarło do niej jak musiała go dziś rano zranić. Pierwszy raz ktoś zdjął jej klapki z oczu. Nie mogła się zasłonić. Naprawdę jej zależało i była tym przerażona. Odgarnęła jedną ręka włosy na uchem, poprawiając duży okrągły kolczyk. Nerwowa reakcja, nie wiedziała co mam zrobić z trzęsącymi się dłońmi.
- Możesz wrócić skąd przyszłaś, przy twojej urodzie masz już pewnie w telefonie ze dwudziestu chętnych na randkę.

Paweł się uśmiechnął i popatrzył na nią, była zdezorientowana. Chyba liczyła, że ją weźmie w obronę. Nie miał najmniejszego zamiaru. Nic z tych rzeczy. Po jej minie dostrzegł, że zaczyna żałować, że tu przyszła. Miało być trzech facetów, więc oczekiwała raczej adoracji, do której przywykła.
- Paweł, przepraszam cię. Nie chciałam – powiedziała w końcu głośno. To zrobiło na nich wrażenie. W knajpie pełnej ludzi. Dopiero teraz dostrzegli, że koncentruje się na nich uwaga całej zgromadzonej gawiedzi.
- Popatrz, przemówiła ludzkim głosem, ale to nie te święta – Komancz jej nie oszczędzał.
Dziku miał największą ochotę powiedzieć jej: „wypierdalaj", ale nie potrafił. Była piękna, cholerna wiedźma. Przed oczami miał tego fagasa, który otworzył mu dziś rano drzwi jej mieszkania.
- Mogłabyś przynajmniej teraz nie kłamać – zdobył się w końcu na odwagę.
- „Ale nic, z czego możemy być dumni", ta. Idę zapalić – Swaróg rozładował atmosferę.
- Co teraz? Pójdziesz ze mną? – spytała Pawła prosząco.
- Oczywiście, że pójdzie, nawet ja bym poszedł – sarkastycznie rzucił Komancz – to jest przecież twoja magiczna moc – pierwszy raz tego wieczoru uśmiechnęła się do niego.
- Odpuścisz mi już? – łagodnie zapytała.
- Idź poczekaj w samochodzie i daj mi się nacieszyć przyjacielem, kiedy w końcu mogę z nim porozmawiać.
- Poczekam na zewnątrz, nie będę wam już przeszkadzać – w międzyczasie wrócił Swaróg.
Gadka już się nie kleiła, Luiza ich rozproszyła, wytrąciła z rytmu. Nagle odkryli, że była główną atrakcją wieczoru, osią, wokół której kręciły się dzisiejsze wydarzenia.
- Pieprzone kobiety, pieprzona miłość – narzekał Komancz.
- Będę się rozwodził – powiedział nagle Broda.
- Co? – zaskoczył ich totalnie.
- Ja rozumiem, że masz wyrzuty, w związku z tą blondyną, ale się zastanów – wystraszył się Swaróg.
- Nie chodzi o nią, ale o mnie. Dłużej tego nie zniosę, nie będzie już wycierała mną podłogi.
- Broda, nie obraź się, ale ty na tym rynku zginiesz – Dziku był bardzo szczery – nie wiesz, w co się pakujesz.
- Ja to szło? „korony królów"? – spytał. Paweł wydeklamował całość raz jeszcze.

„Korony królów na naszych głowach,
Ale nic, z czego możemy być dumni,
To tylko puste hale lodowych pałaców,
Wypełnione rzeczami, który nie potrzebujemy.
Ślady życia i radości zamarzłe eterycznie w przeszłości
Cali my – pokraczne posągi na postumentach marzeń."

- No właśnie – Brodzki dopił piwo - wyjąłeś mi to z ust.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

skinnywords, dodano 25.04.2017 10:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.